



O Wężewie w latach 50. XX w.

Pomysł napisania poniższego opowiadania powstał przy okazji tworzenia drzewa genealogicznego mojej rodziny, jako pamiątki, głównie dla Dzieci i Wnuków. Z tego względu nie ma w nim nazwisk i szczegółów odnoszących się do poszczególnych osób i rodzin, bo są one dla adresatów nieistotne. Chodziło mi głównie o to, aby Czytelnik mógł uświadomić sobie różnice między aktualnymi warunkami życia, a warunkami bytowymi w mazowieckiej wsi ponad 60 lat temu.

Przypadkowy kontakt internetowy z aktualnym Naczelnikiem Ochotniczej Straży Pożarnej w Wężewie - Panem Krzysztofem Wyszkowskim sprawił, że przyjąłem Jego propozycję zamieszczenia tego tekstu na stronie internetowej tej Straży. Wiem, że przedstawione informacje nie mają cech dokumentu, bo są oparte głównie na mojej pamięci. Część z nich będzie zapewne znana, normalna, oczywista i nieciekawa dla dzisiejszych mieszkańców Wężewa, ale – jak mi się wydaje - dla moich Dzieci i Wnuków oraz Czytelników z poza Wężewa może być interesująca.

Z pokorą i poszanowaniem przyjmę wszystkie uwagi krytyczne, a z radością wszelakie uzupełnienia.

Kazimierz Kozłowski, Puławy, marzec 2017 roku

1. Położenie geograficzne i administracyjne, nazwa i okres powstania Wężewa

W Polsce istnieją 3 miejscowości o nazwie Wężewo, jedna w województwie mazowieckim (dawniej w warszawskim lub ciechanowskim) w powiecie przasnyskim (dawniej ciechanowskim) w gminie Krasne i dwie w województwie warmińsko-mazurskim, jedna w powiecie oleckim w gminie Kowale i druga – w powiecie piskim w gminie Orzysz.

„Moje” Wężewo, to średniej wielkości wieś w województwie mazowieckim, w powiecie przasnyskim, w gminie i parafii Krasne. Jest ona położona wzdłuż drogi z

Krasnego, w kierunku Zielonej i Kozina (ze wschodu na zachód). W połowie wsi przecina ją droga z Pułtuską przez Karniewo do Przasnysza. Przy skrzyżowaniu tych dróg, nazywanym Krzyżówkami, po stronie zachodnio-północnej, znajduje się ładna, murowana z cegły kapliczka z figurką Matki Boskiej, a po stronie wschodnio-północnej znajdował się niewielki staw. Kilkaset metrów na południe od wsi znajduje się niewielki państwowy las i małe lasy prywatne. Najbliższe miasta to Przasnysz (11,3 km), Maków Mazowiecki (12,8 km), Ciechanów (21,6 km), Pułtusk (27,0 km). Najbliższe wsie to Żbiki (1,5 km), Kozin (1,8 km), Augustów (2,1 km) i Krasne (2,7 km), Krasiniec (ok. 5 km).

Wieś ma już prawie 600 lat. Według strony internetowej Ochotniczej Straży Pożarnej w Wężewie powstała w roku 1426). Jej nazwa pochodzi od nazwiska pierwszego właściciela Mikołaja Węża (ojca) z pobliskiego Dobrzankowa (*według stron internetowych Bogatego i Dobrzankowa*).

2. Opis ogólny wsi, mieszkańców, domów i siedlisk

Moja pamięć o Wężewie sięga końca roku 1949, kiedy miałem 6 lat i kiedy działały jeszcze uzbrojone oddziały partyzanckie Armii Krajowej, uprzykrzające życie najbardziej aktywnym zwolennikom i przedstawicielom socjalistycznych władz (milicjantom, partyjniakom i tzw. działaczom). Pod osłoną nocy przychodzili oni do wsi, głównie po żywność. Za jakąkolwiek pomoc partyzantom groziło wieloletnie więzienie. Nawet w rodzinie rozmawiano na ten temat były szeptem, żeby dzieci nie usłyszały i nie „wyklepały” czegoś komuś obcemu.

Wieś była wtedy bardzo biedna, a tak zwana cywilizacja dopiero zaczynała do niej docierać. Niektóre rodziny miały - szczególnie na wiosnę, w tzw. przednówku – niedostatek żywności. (*Żałowano, że ówczesne władze odmówiły przyjmowania od 1947 roku powojennej pomocy żywnościowej od amerykańskiej organizacji UNRRA*). W latach 50. zabudowania usytuowane były głównie po północnej stronie drogi i tylko około dziesięciu po stronie południowej. Droga od Krasnego i przez połowę Wężewa była brukowana, a przez drugą połowę – w kierunku Kozina – gruntowa. Droga do Żbik oraz w kierunku lasu była tzw. „żwirówką,” z obrzeżami wzmocnionymi kamieniami, a w kierunku Przasnysza, zwana gościńcem – gruntowa (*żartobliwie mówiono, że już wojska Napoleona udowodniły możliwość przemieszczania się po niej*). Po lewej stronie drogi do Żbik, od dawnej granicy pól Wężewa i Żbik, rosły gęsto stare, grube wierzby.

W rozwidleniu dróg w kierunku Przasnysza i Ciechanowa znajdowała się kuźnia. Była to stara, koślawa, zbudowana z desek i dziurawa buda, której wyposażenie było bardzo skromne, ale kowal był dobrym rzemieślnikiem. Podkuwał konie z całej okolicy, klepał lemiesz do pługów, zakładał obręcze na koła furmanek, naprawiał sprzężynówki, brony i inne sprzęty, robił piecyki, wykuwał zawiasy i patelnie. Chłopcy chętnie chodzili do kuźni, by popatrzeć na robotę „mistrza” i „podymać” miechem pompującym powietrze do paleniska koks. W późniejszym okresie kuźnię przejął zięć „mistrza”.

We wsi były dwa większe stawy wielkości porównywalnej z basenem o wymiarach olimpijskich (*w jednym żyły nawet ryby karasie*) i kilka małych „oczek” wodnych, zwanych



zdrobniale stawkami. Pojono w nich krowy i konie, pływały po nich kaczki i gęsi. Miały one pełnić również funkcję zbiorników przeciwpożarowych.

W różnych miejscach wsi i pod lasem rosło kilka dzikich gruszy nazywanych ulęgałkami.

Dojrzewające i spadające z nich małe, zielono-żółte owoce były niesamowicie kwaśne, ale dawały się zjeść. Dzieci jadły je zbierając bezpośrednio z ziemi i nikomu nie przyszło do głowy, żeby je myć. Najbardziej ubrudzone wycierano o ubranie. Dorośli zbierali te owoce i suszyli na blatach kuchennych, aby mieć susz na zimowe kompoty. Część owoców była pozostawiana na kilka dni, aby się „ulęgły”, to znaczy zrobiły się słodsze. Oznaką przydatności do spożycia była miękkość i zmiana barwy na brązową.

Niewielkich, 2 - 4 izbowych domów było czterdzieści kilka. We wsi mieszkało około 50 rodzin i około 200 osób. Wszyscy byli narodowości polskiej, wyznania rzymskokatolickiego. Pokolenie moich dziadków nie umiało pisać ani czytać, nie miało kopii swoich aktów urodzenia i małżeństwa, mówiło trochę po rosyjsku. Akty te były pisane w parafii przez księdza proboszcza ręcznie, po rosyjsku, często nieczytelnie. Nie było możliwości wykonania kopii ani zrobienia odpisu, a proboszcz pełnił funkcję urzędu stanu cywilnego. Nie wiem, w jakim zakresie to pokolenie potrafiło liczyć. Pokolenie moich rodziców również nie miało kopii swoich aktów urodzenia (*z tego samego powodu co dziadkowie*), ale mogło uzyskać w parafii odpis aktu małżeństwa sporządzonego również przez proboszcza, ale już po polsku. Większość umiała pisać, czytać i liczyć, bo mogła chodzić do 5-klasowej szkoły w Krasnem, założonej przez księżnę Ludwikę Krasieńską Czartoryską.

Mieszkańcy Wężewa i okolic mówili charakterystyczną gwara, która niewiele odbiegała od języka „miejskiego” i literackiego. Główne różnice, to końcówki wszystkich czasowników liczby mnogiej czasu przeszłego (np. *bylim, robilim, pisalim zamiast byliśmy, robiliśmy, pisaliśmy*), poszłem zamiast poszedłem, oraz miękka wymowa końcówek rzeczowników w bierniku liczby pojedynczej zakończonych na -kę, -gę, które wymawiano -kie, -gie (np. *brzózkie, nogie, zamiast brzózkę, nóżkę, nogę*). Niepoprawnie wymawiano czasowniki rodzaju męskiego z końcówką -ąłem, np. *wziełem, cielem, zamiast wziąłem, ciąłem*. Niepoprawnie odmieniano w bierniku zaimek „ta” (*zamiast tę książkę mówiono tą książkę*). Charakterystyczne dla tego regionu było również używanie dawnego staropolskiego słowa „toć”, mającego znaczenie „przecież”, oraz tzw. mazurzenie, czyli wymawianie w niektórych wyrazach zamiast sz, cz, ż - s, c, z, np. *jesce, zona*. Było jeszcze kilka nieprawidłowo wymawianych słów, jak na przykład *mysza, pojedynczy, wziąć*, zamiast - *mysz, pojedynczy, wziąć*. Gwara ta stopniowo zanika dzięki lepszej edukacji, czytelnictwu, filmom, radiu i telewizji oraz kontaktom z ludźmi z innych regionów.

Z okresu lat 60., kiedy przybyło kilka rodzin o nowych nazwiskach, zapamiętałem 39 różnych nazwisk, a niektóre z nich powtarzały się nawet po kilka razy. Nie było nazwisk pochodzenia rosyjskiego i niemieckiego.

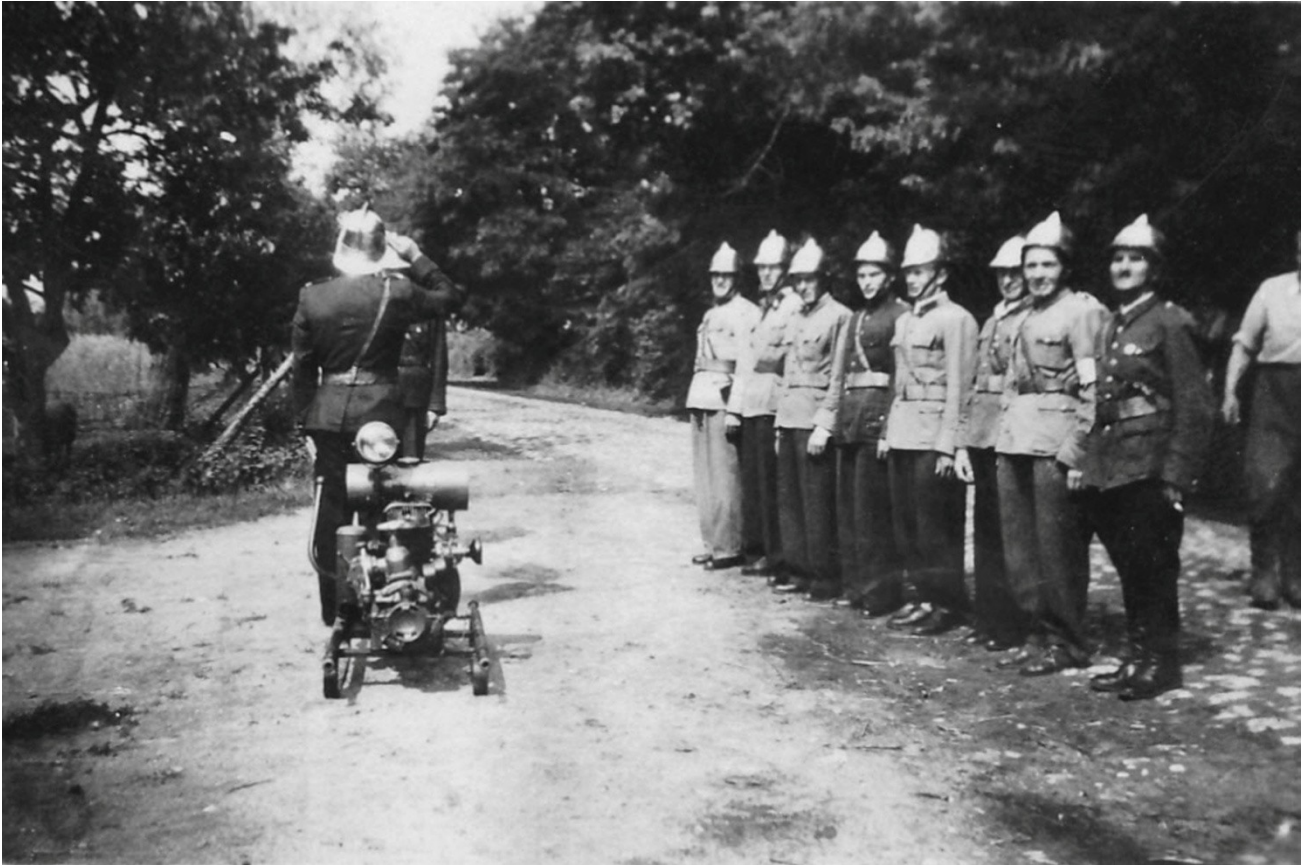
Najważniejszą osobą we wsi był sołtys wybierany przez mieszkańców na zebraniu ogólnym w remizie strażackiej (*ile lat trwała kadencja, nie pamiętam, ale przez wiele lat była to ta sama osoba*). Sołtys był pośrednikiem między władzą gminną a mieszkańcami. Przekazywał zarządzenia i uchwały, zbierał podatki, reprezentował interesy wsi w gminie. Zawiadomienia o zebraniach były przekazywane z domu do domu, za pomocą kartki napisanej przez sołtysa.

We wsi było tylko trzech rzemieślników: wspomniany wcześniej kowal, krawiec i szewc. Rzemieślnicy ci świadczyli usługi dla mieszkańców Wężewa i okolicznych wsi. Praktycznie nie mieli oni silnych konkurentów. Jedynie kowal miał niegroźnego konkurenta w postaci Państwowego Ośrodka Maszynowego (POM) w Krasnem, który działał głównie dla Państwowego Gospodarstwa Rolnego (PGR) i Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej (RSP) w Krasnem. (*PGR i RSP utworzono z byłego majątku hrabiów Krasińskich, potem księżnej Ludwiki Krasińskiej - Czartoryskiej, zajętego przez znanego z historii niemieckiego gauleitera Prus Wschodnich Ericha Kocha*). Kilka osób posiadało umiejętność murowania. Chyba tylko jedna osoba ukończyła gimnazjum i jedna zawodowy kurs. Nie było ani jednej osoby z ukończonym liceum, technikum lub studiami na wyższej uczelni. Nie było weterynarza, fryzjera i lekarza. Najbliższą pomoc medyczną można było uzyskać u felczera (*osoby upoważnionej do wykonywania prostych zabiegów medycznych*) w Krasińcu. Dzieci rodziły się głównie w domu, bo telefoniczne wezwanie pogotowia z poczty w Krasnem i jego przyjazd z Ciechanowa zajmowały zbyt dużo czasu. Do porodów przywożono więc akuszerkę-amatorkę z innej wsi. Nie jestem pewny, ale prawdopodobnie obowiązywała wtedy rejonizacja i nie było możliwości korzystania z pogotowia i szpitala w Przasnyszu i Makowie Mazowieckim.

Mieszkańcy wsi żyli na ogół w zgodzie i przyjaźni, byli życzliwi, chętnie pomagali sobie nawzajem. Najbardziej zaprzyjaźnieni sąsiedzi zapraszali się nawzajem na wesela i inne uroczystości rodzinne. Nie było opowiadań o kłótniach i sporach sądowych. Drobne nieporozumienia między sąsiadami wynikały głównie ze szkód wyrządzanych przez kury i krowy oraz nieterminowego zwrotu pożyczonych rzeczy lub pieniędzy.

Wszystkie dorosłe osoby przebywające poza domem, przez cały rok chodziły z nakrytymi głowami, kobiety w chustach, mężczyźni w czapkach. W późne majowe popołudnia przed kapliczką śpiewano, przeważnie kobiety, Litanię do Najświętszej Marii Panny.

Ludność wiejska była bardzo oszczędna i gospodarna. Nic nie mogło się zmarnować, praktycznie niczego nie wyrzucano, co znalazło przynoszono do domu. Rzeczy mocno zużyte naprawiano, przerabiano lub znajdowano dla nich inne zastosowanie. Odpady palne spalano, odpady organiczne zjadały zwierzęta, popiół wysypywano w ogródku lub na gnojownik. Funkcjonował objazdowy skup szmat, za które – jako zapłatę - można było dostać artykuły kuchenne (garnki, kubki, talerze, szklanki, sztućce, itp.). Żłom metalowy



można było sprzedać lub dać kowalowi. Butelki można było sprzedać w sklepie spożywczym w Krasnem lub Żbikach. Przy okazji prac budowlanych do betonu dodawano rozbite szyby, butelki i ceramikę. Tworzyw sztucznych nie było. Nie było problemu odpadów (!), oprócz „zawartości” wychodzków. Ten problem rozwiązywał się sam, tylko wymagał długiego czasu degradacji.

Istotną rolę w życiu wsi odgrywała Ochotnicza Straż Pożarna utworzona w roku 1921. Z jej inicjatywy zbudowano remizę, która była miejscem nie tylko do przechowywania sprzętu gaśniczego, ale również zabaw tanecznych, zebrań społeczności wsi, wyświetlania filmów przez objazdowe kino. Strażaków było chyba kilkunastu. Każdy z nich miał mundur, a część - również toporki i bardzo ładne, żółto-złote, wypolerowane i błyszczące hełmy. Strażakiem można było zostać po odbyciu obowiązkowej wtedy służby wojskowej (*w wojskach lądowych - dwa lata, a w marynarce wojennej - trzy lata*) i być nim dokąd się chciało. Przed Wielkanocą, od wieczora w czwartek do poranka w niedzielę, strażacy pełnili ciągłą wartę honorową przy grobie Chrystusa w kościele w Krasnem. Na wyposażeniu straży był konny wóz strażacki, a na nim 4-cylindrowa pompa ręczna (*obsługiwana przez 4 osoby*), węże i po kilka bosaków i tłumic. Całe wyposażenie strażaków i straży było chyba finansowane z zysków z zabaw tanecznych i loterii fantowych. Na zabawach zwykle był bufet z wódką, winem, oranżadą i czekoladami. Od czasu do czasu zdarzały się bójki „podchmielonych” kawalerów z Wężewa z przybyszami z sąsiednich wsi, którzy „podrywali” „ich” panny. Z inicjatywy straży, we wsi pełniono tzw. wartę, czyli nocny nadzór nad bezpieczeństwem mieszkańców pod względem pożarowym i majątkowym. Zadaniem warty było odstraszenie niepożądanych „gości” (*złodziei*) oraz szybkie powiadomienie strażaków, za pomocą syreny, o zauważonym pożarze we wsi lub w okolicy. Wartę pełniło dwóch

mężczyzn, po jednym z dwóch sąsiednich domów. Przekazywanie warty następcom odbywało się przez zanieśnięcie do następnego domu specjalnego drewnianego drążka z uchwytem ze skórzanego paska lub sznurka (*coś podobnego do kijka narciarskiego*). Drążek ten i latarka pełniły funkcję narzędzi obrony przed psami. W opisywanym okresie zdarzył się jeden poważny pożar, tuż przy stawie przy skrzyżowaniu dróg (*Krzyżówkach*), w którym spłonęła obora, stajnia i stodoła. Płonące fragmenty strzechy wzbijały się wysoko i leciały daleko zanim całkowicie spłonęły w powietrzu lub spadły na ziemię. Na szczęście wiatr był w kierunku pól i pożar nie rozprzestrzenił się. Widok i zapach pogorzeliśka, martwych krów i koni był przerażający. Przyczyną tego pożaru było prawdopodobnie wyrzucenie gorącego popiołu na gnojownik w pobliżu obory.

W końcu lat 50. chyba tylko trzy domy i remiza strażacka były murowane z cegły i kilka z żuźla (*z pieców w cukrowni w Krasieńcu*), wymieszanego z wapnem. Nazywano je domami ze szlaki. Reszta domów zbudowana była z drewna, bali lub desek. Tylko dwa domy miały dachy pokryte dachówką, kilka blachą ocynkowaną, kilka eternitem a reszta – słomą. Chlewy, stajnie i stodoły pokryte były również głównie słomą. Słomiane dachy (*strzechy*) były miejscem gniazdowania niezliczonej ilości wróbli. Do kuchni, w której domownicy spędzali większość czasu, wchodziło się przez sień, która pełniła funkcję terażniejszego wiatrołapu. W co najmniej dwóch starych domach (*chałupach*) nie było podłóg, tylko uklepana glina, którą posypywano żółtym piaskiem. Podłogi były wykonane z desek niemalowanych (*głównie w kuchniach*) lub malowanych farbą olejną koloru orzechowego (*głównie w pokojach*). Niemalowane podłogi były co sobotę myte i szorowane szczotkami ryżowymi. Okna były małe, z dwiema otwieranymi na zewnątrz ramami, każda z 2 lub 3 szybami, oraz z zapasową niedzieloną ramą, 4 lub 6-szybową, zakładaną na zimę od wewnątrz. Nowe domy miały większe okna z ramami z pojedynczymi szybami. Ściany wewnątrz pomieszczeń malowano przeważnie wapnem na biało lub wapnem z dodatkiem ultramaryny lub farb (*barwników w proszku*) – na kolorowo. Niektórzy dodawali krochmalu, żeby się nie wycierały. Modne było malowanie szlaczków pod sufitem i kolorowych deseni malowanych gumowym wálkiem z wypukłymi ozdobnymi wzorami. Chyba we wszystkich domach na ścianach wisiały obrazy, głównie Jezusa Chrystusa, Matki Boskiej i Ostatnia Wieczerza, krzyż oraz kalendarze, zwykle wycięte z gazet „Gromada Rolnik Polski” lub „Przyjaciółka”. Gazety te prenumerowano, a przynosił je listonosz. W późniejszych latach pojawiły się już kalendarze w formie bloczku z odrywanymi kartkami. Niektórzy mieli również powieszzone na ścianach monidła, lub kiczowate portrety ślubne. Sufity były wykonane przeważnie z desek malowanych farbą olejną lub tylko zaimpregnowanych pokostem. W starych domach nie było sufitów tynkowanych, ale w nowych już się pojawiały.

Umeblowanie stanowiły kredensy, szafy, stoły, krzesła, taborety, no i oczywiście drewniane łóżka. W łóżkach zamiast materaców były tzw. sienniki wypchane słomą, najlepiej owsianą, bo była miękka. Nie było wersalek i tapczanów ani tzw. zapiecków, które były popularne we wschodnich rejonach Polski. W okresach niskich temperatur spało się pod pierzyną z puchu i/lub pierzy z gęsi, a latem pod kocem. Kołder nie było, pojawiły się później, ciężkie i niepraktyczne, w wykonaniu z adamaszku i waty. Przed snem i po wstaniu rano odmawiano pacierz. Zaniechanie tego obowiązku było grzechem, z którego należało się

spowiadać. Na dzień łóżka były równo zaścielane i przykrywane narzutami (*kapami*). W niektórych domach poduszki były kładzione na narzutach. Pierzyny i poduszki stanowiły podstawowe wiano dziewcząt wychodzących za mąż.

W większości domów, w sieni lub w kuchni, były murowane, opalane drewnem specjalne piece do pieczenia chleba, ciast i mięsa. (*Nie było jeszcze piekarni i masarni w Krasnem*). Zabudowania nie miały piorunochronów i dlatego każda burza wywoływała wielkie obawy o pożar. Dopiero w początkowych latach 50. założono (*chyba nieodpłatnie przez strażaków?*) na wszystkich budynkach tzw. odgromniki z ocynkowanego drutu, których końcówki należało samodzielnie zakopać w ziemi. Wreszcie zmniejszył się strach przed skutkami uderzenia pioruna.

Siedliska były ogrodzone płotami, wykonanymi głównie z drewnianych kołków lub plecionymi z gałęzi, rzadziej ze sztachet z desek. Głównym powodem ogradzania siedlisk były kury, które bardzo chętnie wchodziły na teren sąsiadów lub na drogę, albo do ogródka, gdzie robiły spustoszenie.

Przez wiele lat, jeśli w domu nie było nikogo, to w skobel na drzwiach wtykano patyk. Nie zamykano drzwi na klucz lub kłódkę. Siedlisko „nadzorował” tylko pies na łańcuchu i sąsiedzi. Furtki i bramy zamykano tylko „na styk” lub na zwykłe zamki, żeby nie uciekły kury i inne ptactwo domowe.

Spokój i ciszę we wsi i okolicy zakłócały najbardziej – latem dosyć często - wojskowe samoloty śmigłowe, głównie jednopłatowe, z pobliskiego lotniska w Sierakowie pod Przasnyszem. Ćwiczebne akrobacje tych samolotów nad polami od strony Żbik, Gostkowa i Augustowa stanowiły interesujące widowisko, szczególnie dla dzieci.

W okresie każdego lata utrapieniem dla ludzi i zwierząt były muchy. Te paskudne owady bzycały, gryzły, siadały tam, gdzie nie powinny. Niewiele pomagały siatki w oknach, zasłony na drzwiach i lepjące taśmy rozwieszane pod sufitem.

Niepokój we wsi wywoływał od czasu do czasu przejazd kolorowych i eleganckich taborów cygańskich (*wtedy Cyganie mieli swobodę przemieszczania się po kraju, a ich wozy, to były domy na kołach*), bo Cyganki kradły co się tylko dało, a głównie kury. Jedna Cyganka natrętnie namawiała domowników, głównie młode dziewczęta, na wróżenie, lub prosiła o jedzenie, a inne w tym czasie zajmowały się „łowami”.



3. Opis gospodarstw

Gospodarstwa były głównie małe, po kilka ha i mniejsze, zaledwie kilka w środkowej części wsi miało powyżej 5 ha, w tym jedno największe około 20 ha. Część gospodarzy nie była w stanie utrzymać rodzin i inwentarza

z uzyskiwanych plonów i zmuszona była do pracy najemnej, głównie u sąsiadów lub w lesie. Niektórym młodszym osobom udawało się zdobyć stałą pracę w Krasnem lub okresową w cukrowni w Krasieńcu. Rolnicy byli gnębieni obowiązkowymi dostawami żywności, mleka i zbóż, za które uzyskiwali symboliczne zapłaty, oraz usilnie, ale – na szczęście – bezskutecznie nakłaniani do tzw. kolektywizacji, czyli komasacji gruntów i założenia spółdzielni, na wzór radzieckich kołchozów. Pola znajdowały się po obu stronach drogi. Te pod lasem nazywano wspólną zagadkową nazwą „Suć”, a obszar przy drodze z Krasnego do Kozina „Kaczeńcem”. Uprawiano głównie żyto i ziemniaki, a na mniejszych arealach pszenicę, jęczmień, buraki cukrowe i pastewne. Chyba większość gospodarzy uprawiała buraki cukrowe kontraktowane przez cukrownię w Krasieńcu. Buraki dawały niewątpliwą perspektywę uzyskania za nie pieniędzy, a liście w postaci świeżej i kiszanej oraz kiszane wysłodki (*wytłoki*), kupowane jako odpad w cukrowni, stanowiły bardzo dobrą paszę dla krów. Niektórzy gospodarze uprawiali tytoń na sprzedaż i na potrzeby własne (*na „skręty”, które zastępowały drogie, firmowe papierosy*). Świeże i dojrzałe liście tytoniu nawlekano na cienkie stalowe druty i wieszano, przeważnie pod strzechami stodół, żeby wyschły. Rozwieszane liście tytoniu były łatwo dostępne dla dzieci i młodocianych i dlatego już w tym wieku wielu z nich stawało się nałogowymi palaczami. Nie uprawiano malin, bo leśne – choć małe – były bardziej aromatyczne i smaczne. Maliny leśne i duże ilości cukru nasypywano do 1 l butelek po wódce i uzyskiwano sok, który był domowym lekiem na przeziębienia.

Pamiętam również grykę, proso i len. W przydomowych małych ogródkach rosły nieliczne drzewa owocowe (głównie jabłonie, rzadziej wiśnie, śliwy i grusze), warzywa i kwiaty, a w niektórych czerwone i białe porzeczki. Nikt nie miał szklarni ani tunelu (*tunele nie były wtedy znane, nie było folii*). Może niektórzy mieli małe inspekty? Różnorodność pomidorów kupowano u ogrodnika w Krasnem. Plony były małe, bo większość gruntów była klasy III i IV i poza obornikiem, nazywanym gnojem, praktycznie nie stosowano drogich wówczas nawozów. Znanymi, ale rzadko stosowanymi nawozami był pylisty azotniak z Zakładów Azotowych w Chorzowie i saletrzak z Zakładów Azotowych w Tarnowie i Kędzierzynie, sprzedawanymi w Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Krasnem. Stosowano również saletrę potasową importowaną ze Związku Radzieckiego i Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Słabsze, piaszczyste gleby również wapnowano wapnem podefekacyjnym (*po oczyszczeniu soku z buraków cukrowych*), które jako odpad można było za darmo brać z hałdy obok cukrowni w Krasieńcu. Nie pamiętam nawozów fosforowych, pamiętam natomiast, że był okres, kiedy „wciskano” nawozy niechętnym gospodarzom. Nie było żadnych środków ochrony roślin. Pola nie były zmeliorowane, a wiosenne roztopy i ulewne deszcze powodowały dotkliwe szkody w plonach. W tamtych latach były surowe zimy, które powodowały wymarzenie ozimin, drzew i krzewów. Z tego względu nikt we wsi nie miał orzechów włoskich, leszczyny ani winorośli, a grusze często wymarzały.

Kto tylko miał możliwości hodował krowę, świnie, kury, kaczki, gęsi i króliki, rzadko owce. Bardziej zamożni gospodarze hodowali konie, które wykorzystywano jako siłę pociągową w pracach polowych, kieratach i w transporcie furmankami (wozami), rzadko do jazdy „wierzchem”. Bogatsi gospodarze mieli własne furmanki, z drewnianymi kołami

okutymi stalowymi obręczami, które jadąc po bruku wydawały bardzo hałaśliwe dźwięki. *(Czasami humorystycznie wyglądało jak koń sam wiozł do domu pijanego i śpiącego na furmance gospodarza, który wcześniej coś sprzedał i „oblat” udaną transakcję).* Tylko niewielu gospodarzy miało sanie, które były jedynym środkiem transportu w czasie śnieżnych zim. Większość gospodarstw posiadała w pobliżu domu własne, niezbyt głębokie studnie, które były źródłem wody pitnej dla ludzi zwierząt i drobnego inwentarza oraz do mycia i prania. Krowy i konie poiono głównie w stawach i przydomowych stawkach. Poziom wody gruntowej we wsi był zwykle wysoki i nie trzeba było kopać głębokich studni. Jednak w okresach letnich, z małą ilością deszczu (np. 1951 -1954), wody w wielu studniach brakowało i trzeba było korzystać ze studni sąsiadów, a nawet jeździć po nią z beczkami do studni przy szkole w Żbikach. W roku 1951 całkowicie wyschła woda w stawach i stawkach oraz w wielu studniach. Wodę noszono od studni do domu w wiadrach z blachy ocynkowanej, w rękach lub na specjalnych naramiennych nosidłach. W żadnym domu nie było łazienki i ubikacji, do mycia wykorzystywano blaszane emaliowane miednice, drewniane lub blaszane wanienki i balie do prania, a za „własną potrzebą” trzeba było chodzić do tzw. wychodka, który był zwykle schowany za budynkami gospodarczymi. Nie było papieru toaletowego, jego funkcję pełniły stare gazety. *(Ciekawe, że mimo, a może dzięki (?)ogólnie niskiej higienie ludzie nie chorowali zbyt często i nie było alergików).* Mycie zębów nie było zbyt popularne, czego efekty, wzmocnione niedożywieniem, widoczne były w uzębieniu wielu, nie tylko starszych osób. Starsi mężczyźni golili się przeważnie tylko raz na tydzień, w niedzielę, przed wyjściem do kościoła. Do golenia używali oni głównie brzytw, do ostrzenia których służyły szerokie skórzane pasy, przeznaczone wyłącznie do tego celu. Młodszy panowie golili się częściej i głównie maszynkami do golenia z żyłkami „Rawa Lux” produkowanymi w Rawie Mazowieckiej. Do prania, oczywiście tylko ręcznego na blaszanych tarach, chętnie wykorzystywano deszczówkę lub wodę z roztopionego śniegu i lodu, bo była „miękką” i nie tworzyła osadu z mydła i proszku do prania. Pranie suszono na sznurach rozciągniętych między drzewami. Pościel po wysuszeniu była pojedynczo nawijana na specjalny wałek drewniany i maglowana specjalną drewnianą maglownicą z wyżłobionymi rowkami. Do prasowania używano żelazek ogrzewanych węglem drzewnym lub też nagrzewanych na kuchniach. W niektórych domach, tylko w tych miejscach, gdzie poziom wody gruntowej był dostatecznie niski, zwykle pod podłogą w kuchni, były wykopane małe piwnice, w których przechowywano niewielkie zapasy zimowe ziemniaków i warzyw, a w okresie lata pełniły one funkcję dzisiejszych lodówek. Do ogrzewania mieszkań służyły głównie murowane kuchnie, na których gotowano posiłki oraz żeliwne kuchenki i różnego rodzaju stalowe i żeliwne piecyki *(kozy)* wytwarzane ze złomu przez kowala. Nie pamiętam, aby w którymś domu był zbyt drogi piec kaflowy. Takie piece były w szkole. W okresie letnim jako opał wykorzystywano głównie odpadowe drewno i szyszki sosnowe z pobliskiego lasu, a w okresie zimowym również węgiel kamienny, na który uzyskiwano tzw. przydział za sprzedaż świń.

Wieś nie była zelektryfikowana, chyba aż do roku 1957 (!), nie było więc żadnych urządzeń zasilanych prądem z sieci. Mieszkania oświetlane były lampami naftowymi, a do oświetlenia na zewnątrz domów używano latarek naftowych lub elektrycznych na baterie płaskie 4,5 V. Nawet po elektryfikacji wsi przez wiele lat nie było oświetlenia drogi. Nie było



lodówek, więc w okresie lata do schładzania produktów spożywczych (głównie mleka, śmietany, masła, domowego piwa (z *podpiwku i drożdży*) oraz posiłków na następny dzień) wykorzystywano studnie. Produkty te umieszczano w blaszanym wiadrze, które na łańcuchu lub lince spuszczano do studni i częściowo zanurzano w wodzie. Nikt, nawet sołtys nie miał telefonu. O telewizji

nawet nikt nie słyszał, a radio było tylko jedno, „kryształkowe” na słuchawki, aż do czasu zainstalowania (*chyba około roku 1953?*) wszystkim domostwom w gminie głośników (*tzw. kolchoźników*) zasilanych drogą kablową i liniami napowietrznymi ze specjalnego wzmacniacza umieszczonego na poczcie w Krasnem, ustawionego tylko na program 1 Polskiego Radia. Wreszcie wszyscy mogli słuchać wiadomości z kraju i ze świata oraz muzyki. Według radia można było dokładnie ustawiać zegary, w niedzielne południe posłuchać kapeli Feliksa Dzierżanowskiego, a po obiedzie słuchowiska „Matysiakowie” (*od 1956 r. w programie II PR*). Praktycznie nie było mechanizacji, większość prac wykonywano ręcznie lub z wykorzystaniem koni. Nikt nie miał traktora, czy motocykla, a liczbę rowerów pewnie można by było zliczyć na palcach obu rąk. Był jeden motorower (*chyba służbowy ?*), którym jeździł dróżnik nadzorujący drogę w kierunku Ciechanowa. Zboża siano głównie ręcznie, ale siewniki ciągnięte przez konie już były. Chwasty niszczone motykami, zboża koszone kosami, buraki i ziemniaki sadzono i kopano posługując się motykami wykonanymi przez miejscowego kowala lub zakupionymi w Krasnem lub w pobliskich miastach. Żniwa i wykopki były okresami najcięższych prac polowych. Żeby nie tracić czasu do pracy, na pola donoszono obiady w garnkach i/lub poniemieckich menażkach. Dodatkowe posiłki (drugie śniadania i podwieczorki) były najczęściej w postaci razowego chleba z masłem, lub białym serem lub soloną słoniną, kawy zbożowej i jabłek. Skoszone zboża zbierano sierpem i formowano snopki ręcznie wiązane opaskami skręconymi z tego zboża. Następnie snopki te zestawiano po 10 sztuk w *tzw. mendle* w celu wysuszenia. Suche snopki zwożono do stodoł, a co się nie mieściło w stodole było ustawiane w sterty na polu. Stodoły i sterty były ciepłym i dobrze zaopatrzonym w żywność miejscem zimowania myszy polnych i szczurów. Koty nie musiały się zbyt trudzić, żeby mieć ulubiony posiłek. Bardziej pracowite koty przynosiły – niestety – nadwyżki z łowów do domu. Szczury chętnie korzystały również z karmy, którą dostawały zwierzęta w chlewach, oborach i stajniach. W okresie zimy zboża młócono sukcesywnie cepami na klepisku w stodole i/lub młocarniami napędzanymi kieratami, a potem odwiewano ziarno w wialniach, których wirniki napędzano ręcznie korbą. Objazdowe profesjonalne młocarnie napędzane silnikiem spalinowym S60 pojawiły się chyba już w latach 60. Nieco wcześniej pojawił się pierwszy wóz z kołami ogumionymi (*prawdopodobnie samochodowymi*), kosiarki, potem żniwiarki i w końcu – cud techniki – snopowiązałka.

4. Żywność, wyżywienie

We wsi przez wiele lat nie było sklepu i często brakowało pieniędzy w domowym budżecie. Z tych względów każda rodzina starała się, aby w jak największym stopniu być samowystarczalną przez cały rok pod względem zaopatrzenia w żywność i żeby się ona nie marnowała. Nie było wyrzucania żywności, czego nie zjedli ludzie zjadały zwierzęta. Zaletą braku sklepu we wsi był utrudniony dostęp do wódki i wina, chyba dzięki temu było mniej alkoholików.

W sprzedaży było wtedy dwa rodzaje wódki, z czerwoną i niebieską etykietą, spirytus i jeden rodzaj wina owocowego marki „Wino” (w latach 60. wino to „ochrzczono” ogólnokrajową nazwą „J19” (od jabłok za 19 zł) wzorowanym na hasle „J23” kapitana Klosa z serialu „Stawka większa niż życie”). Wino to miało również inne nazwy, takie jak jabol, alpaga, belt, jabłok, siara, wino patykiem pisane, żur. Nie wiem, czym się różniły rodzaje wódki (prawdopodobnie pochodziły od różnych producentów a może miały różną zawartość alkoholu?), ale uważano, że ta z czerwoną „kartką” jest lepsza. Domowym sposobem robiono inne rodzaje wódki ze spirytusu, poprzez rozcieńczenie wodą i np. sokiem malinowym, lub miodem lub karmelem. Nalewek raczej nie robiono. Nic mi nie wiadomo, czy pędzono bimber, za co groziły surowe kary. Wydaje mi się, że chyba nie, bo - według mojej oceny - nie było wtedy odpowiedniej aparatury i „specjalistów” z tej branży.

Podstawowymi produktami spożywczymi były: razowy chleb pieczony w domowym piecu, mąki i kasze z własnego ziarna (*przerabianego we młynie w Krasnem*), własne ziemniaki i warzywa, jaja od własnych kur, mleko od własnej krowy, masło własnoręcznie robione ze śmietany oddzielonej od mleka, biały ser z własnego mleka, swoja kiszona kapusta i kiszone ogórki, no i mięso z wyhodowanych zwierząt: drobiu, królików, owiec, cieląt i świń. (*Tak smaczną, naturalnie i długo kiszoną kapustę teraz niezwykle trudno kupić. Teraz kapustę kisi się na bieżąco, krótko, a nieuczciwi producenci dodają kwasu mlekowego*).

Do wytwarzania własnych wyrobów potrzebne było specjalne wyposażenie, takie jak na przykład: dzieże do wyrobu chleba, maselnice do robienia masła (*kiżanki*), praski do odciskania sera, szatkownice lub specjalne duże noże do krojenia kapusty. Mniejsze ilości masła wytwarzano poprzez wytrząsanie śmietany umieszczonej w 1 litrowej butelce po wódce. Czasami, w okresie zimowym łapano we wnyki kuropatwy. Nie polowano na inną zwierzynę łowną.

Ze szczególnym szacunkiem odnoszono się do chleba. Przed odkrojeniem pierwszej kromki na bochenku robiono znak krzyża. Wyrzucanie chleba uważano za grzech. Oprócz żywności kobiety przygotowywały na zimę, dla wszystkich domowników, wełniane skarpety, rękawiczki, swetry i nauszники.

Na śniadanie była zwykle zupa mleczna z zacierkami, płatkami owsianymi lub kaszą. Jedzono również chleb z masłem, serem, lub smalcem posypanym solą, albo ze śmietaną posypaną cukrem. Przed obiadem wszyscy stawali przy stole i odmawiali Ojciec Nasz. Obiady były najczęściej jednodaniowe, w postaci zup, z wkładką mięsną lub częściej bez wkładki. W niedziele i święta najczęściej były obiady dwudaniowe. Podstawową zupą był rosół z ręcznie

robionymi kluskami, a na drugie danie mięso z rosółu z ziemniakami. Często jedzono kapuśniak, latem ze słodkiej kapusty, a w pozostałym okresie roku z kiszanej. Częstym daniem była również gotowana kapusta kiszona z dodatkiem zasmażki ze smalcu i mąki. Równie często – szczególnie latem – na obiad bywało zsiadłe mleko z ziemniakami, pierogi z serem lub owocami, placki i kluski ziemniaczane. Na kolację najczęściej był chleb z masłem, białym serem lub smalcem i/lub to co pozostało po obiedzie. Podstawowym „narzędziem” do jedzenia była łyżka. Widelców używano rzadko, a noży jeszcze rzadziej. Wiele osób miało trudności w jednoczesnym posługiwaniu się widelcem i nożem. Na co dzień używano gorszych sztuców, przeważnie wykonanych z jakiegoś stopu aluminium, a przy okazji przyjęć gości - lepszych, stalowych, głównie z firmy Gerlach.

Wędliny pojawiały się na stole tylko czasami, głównie w Boże Narodzenie i Wielkanoc, lub po wyjeździe kogoś z rodziny po zakupy do miasta. Były one również okresowo dostępne w sklepie w Krasnem (*przywożono z Ciechanowa*) i w Krasieńcu (*gdzie była masarnia*). Prawdziwe uczyty mięsne były tylko po świniobiciu, głównie przed ww. świętami. Dom zamieniał się wtedy w niezbyt przyjemnie pachnącą przetwórnę. Nic nie mogło się zmarnować. Robiono kaszanekę, salceson, pasztetówkę, galaretę z nówek i tzw. sadło, czasami również kielbasę, mielono i topiono słoninę, smażyono kotlety. Na zapas smażyono mięso w smalcu i w tej postaci przechowywano je w kamiennych garnkach i szklanych słojach. Część słoniny tylko solono i to była namiastka wędliny.

(Sadło, to dosyć trwałe, bardzo kaloryczny, pachnący i smaczny produkt, nieznan w innych rejonach Polski i prawdopodobnie już nigdzie nie wytwarzany, którym smarowano chleb. Było to surowe mięso zmielone ze słoniną, mocno przyprawione solą, mielonym pieprzem i czosnkiem, owinięte w tzw. błonę z wnętrza świni i papierem pergaminowym).

Domowe wyroby były bardzo smaczne, bo jakość mięsa ze świń karmionych różnorodnymi naturalnymi paszami, bez dodatków aktualnie stosowanych, była zdecydowanie lepsza i - poza przyprawami - nie stosowano żadnych „wypełniaczy” i „ulepszaczy”.

Ubój gospodarczy zwierząt na mięso był naturalną, konieczną czynnością, która – choć bardzo nieprzyjemna - nie robiła szczególnego wrażenia, nawet u dzieci. Można było oswoić się z tym.

5. Transport osobowy i towarowy

Podstawowym środkiem transportu osobowego i towarowego były furmanki ciągnięte przez konie. Nie było osobowej komunikacji samochodowej. Do pobliskich miast dojeżdżano kolejką wąskotorową (rozstaw torów 600 mm), z Krasnego i Żbik. Krasne było węzłem kolejowym z odgałęzieniami do Ciechanowa, Makowa Mazowieckiego i Mławy (przez Przasnysz), a w okresach kampanii buraczanej również do cukrowni w Krasieńcu. Parowozy były opalane węglem. Ciągnęły one jednocześnie 1 lub 2 wagony osobowe i kilka towarowych. Oprócz pasażerów kolejki przewoziły różnego rodzaju tzw. towary masowe, tj.

węgiel, nawozy, materiały budowlane, buraki cukrowe. Maksymalna prędkość takich kolejek chyba nie przekraczała 20 km/h. Można było z niej wyskoczyć bez większego ryzyka. Transport artykułów spożywczych z hurtowni w Ciechanowie do sklepów w gminie odbywał się samochodami ciężarowymi. Traktory były w posiadaniu tylko Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej i Państwowego Gospodarstwa Rolnego w Krasnem. Stacja kolei szerokotorowej była w Ciechanowie.



6. Szkoła, edukacja

We wsi nie było szkoły podstawowej. Przed II wojną światową mieszkańcy wsi rozpoczęli budowę szkoły po prawej stronie drogi do Żbik, ale została ona zniszczona przez Niemców. Część starszych osób była analfabetami. Ówczesne władze, w ramach walki z analfabetyzmem, zmuszały te osoby do uczenia się na kursach wieczorowych. Tuż po wojnie dzieci chodziły do szkoły do Szwejk, a później do Żbik i Krasnego. Ja chodziłem do szkoły w Żbikach, wsi również niezelektryfikowanej, odległej od skrzyżowania w Wężewie około 1,5 km. Większość budynków w tej wsi była pozostałością po posiadłości byłego dziedzica-dzierżawcy Tadeusza Bojanowskiego przed II wojną światową i po jej niemieckim gospodarzu w czasie okupacji niemieckiej. Szkołę utworzono w upaństwowionym dworku. Budynek szkoły był ładny, wyróżniający się bardzo korzystnie w porównaniu z wiejskimi domami i tzw. czworakami (*czworaki, to były murowane z cegły i częściowo z kamieni budynki, w których mieszkało po 4 rodziny, które przed II wojną światową pracowały w gospodarstwie dziedzica, a w okresie okupacji - gospodarza z Niemiec*). Jeden z tych czworaków przylegał narożnikiem do budynku szkoły. Obok szkoły znajdowały się resztki parku, w którym pozostało kilka pięknych świerków (*srebrnych i zielonych*) i innych drzew,

na których gniazdowały różne ptaki. Przed szkołą od strony frontowej (południowej), po drugiej stronie brukowanej drogi, był niewielki staw (*latem niezbyt czyste kąpielisko z powodu bliskości obory, zimą dobre lodowisko*). Po tej stronie było również wejście z oszklonym gankiem do mieszkań kierownika szkoły. Prostopadle do drogi i równoległe do stawu był długi murowany budynek gospodarczy, prawdopodobnie dawna obora dla krów i/lub chlewnia dla świń. Wejście do szkoły dla uczniów było po przeciwnej (północnej) stronie. Północna część przyszkolnego terenu kończyła się dosyć stromą skarpą i rowem z wodą, w którym rosły trzciny. Za rowem był stary sad. Przy skarpie, kilkadziesiąt metrów od budynku szkoły, był dwu kabinowy wychodek dla uczniów, nauczycieli i mieszkańców czworaka. Woda z rowu przepływała przez niewielki (*drugi*) staw, nad którym stała stara, sucha topola, z uciętym wierzchołkiem i bocianim gniazdem na powierzchni cięcia. Obserwacje bocianiej rodziny były pewnego rodzaju atrakcją nie tylko dla dzieci, ale również dla młodzieży i dorosłych. W stawie były karasie i szczupaki. Tuż przy stawie, przy drodze stolarz miał swój maleńki warsztat, a raczej zbitą z desek budę. Na przerwach ciekawscy chłopcy biegali do tego warsztatu by popatrzeć na pracę i narzędzia rzemieślnika. Zachwył u chłopców wzbudzała piła taśmowa z napędem ręcznym, stół stolarski z drewnianym imadłem, z grubą śrubą dociskową wytoczoną również z drewna (!) i gładziutkie, heblowane i szlifowane papierem ściernym wyroby. Stolarz chwalił się, że ma w domu ręczną tokarnię, która nie mieściła się w warsztacie. Nie miał on nic przeciwko wizytom chłopców, chętnie pokazywał swoje wyposażenie (*różne heble, dłuta, wiertarkę ręczną*) i wyroby, i sprawiał nawet wrażenie zadowolonego z tych wizyt. Po stronie wschodniej, równoległe do ściany szczytowej szkoły była duża chłodna przechowalnia ziemniaków i warzyw nazywana piwnicą, chociaż większa jej część wystawała nad powierzchnię gruntu. Piwnica była murowana i przysypana grubą warstwą ziemi, żeby w czasie mrozów nic w niej nie zmarzło. Latem szczytowa ściana budynku szkoły osłaniała piwnicę przed słońcem i ograniczała jej nagrzewanie.

(Podobne „budowle”, ale znacznie mniejsze, o pochyłych ścianach i wąskim suficie, wykonane z drewnianych kolków pokrytych słomą żytnią i ziemią, nazywane parskami, robili sobie gospodarze w całej okolicy. Miały one trwałość nawet kilku lat. Poza północnym Mazowszem parski chyba nie były znane, nie wiadomo jaki jest źródłosłów tej dziwnej nazwy, czyli skąd lub od czego ona pochodzi).

Od strony szczytowej zachodniej było duże brukowane podwórko, na którym znajdowała się ogólnodostępna studnia z żeliwną, ręczną pompą. Do studni tej, w czasie przerw, biegały dzieci, żeby napić się wody. Woda była smaczna i w tej studni, nawet w okresach największej suszy, nigdy jej nie brakowało. W pobliżu szkoły, w pomieszczeniach dawnego spichrza (*magazynie i chyba (?) młynie zboża*) znajdował się mały sklepik, zaopatrywany przez GS w Krasnem, w którym dzieci sprzedawały butelki, kupowały bułki, zeszyty, ołówki, gumki i robiły również drobne zakupy dla rodziców. Sklepik prowadził również skup jaj. W pobliżu spichrza-sklepiku znajdowały się również dwa duże budynki, murowane z cegły i kamieni,

były stajnie, które adaptowano na państwowe magazyny zbożowe. W tych magazynach (spichrzach) przechowywano zboża skupione z całej okolicy, chyba nawet z sąsiednich gmin. Byli w nich zatrudnieni na stałe pracownicy, którzy pełnili funkcje magazynierów, stróżów i robotników. Robotnicy przesypywali wilgotne jeszcze zboża, żeby doschły, nie „zaparzyły” się i nie zepsuły. Zadaniem ich była również walka z wołkami (*pasożytami wyjadającymi wnętrza ziaren*) a zimową rozrywką w czasie pracy – karmienie kuropatw pszenicą, bo to ziarno najbardziej im smakowało. W pobliżu magazynów zbożowych był nowy, bardzo mały punkt skupu mleka.

W latach szkolnych 1950/51 - 1954/55 w Żbikach funkcjonowała szkoła tylko 4-klasowa, z trzema salami lekcyjnymi i mieszkaniem dla kierownika. Komplet pomocy szkolnych składał się z globusa, kilku map, drewnianej linii i cyrkla. Nie przypominam sobie, czy w tej szkole była biblioteka? Raczej nie. Do lekcji w-f była jedna mocno wysłużona piłka do gry w „dwa ognie”, palant i piłka do palanta. Rolę prowizorycznego boiska pełnił udeptany plac, porośnięty na obrzeżach trawą. Nie graliśmy w siatkówkę i koszykówkę, bo nie było piłek i było nas za mało, żeby stworzyć drużyny.

W 1950 r. wydano po raz pierwszy elementarz Falskiego z kolorowymi ilustracjami. Pozostałe książki były czarno-białe, w miękkich okładkach. Zeszyty w trzy linie, jedną linię i w kratkę były 16- i 32-kartkowe. Dzieci nie miały tornistrów, tylko szyte domowym sposobem torby z tkaniny lub kupione skórzane teczki. Do pisania służyły tzw. obsadki ze stalówkami maczanymi w kałamarzach z atramentem, ołówki zwykłe i kopiowe. Kredki raczej nie używano. W czasie przerw obowiązkiem dyżurnego było uzupełnianie atramentu w kałamarzach i ścieranie tablicy mokrą szmatą. Pierwszy długopis w naszej szkole pojawił się w roku 1954. Mniej więcej w tym samym okresie pojawiły się tornistry z prasowanej i malowanej na brązowo tektury, których żywotność, przy „normalnym” chłopięcym użytkowaniu była jednak zbyt krótka. Każdego dnia przed pierwszą lekcją i po ostatniej uczniowie razem z nauczycielem modlili na stojąco. W pewnym okresie był zakaz modlenia i nauki religii w szkole.

Na czarnych drewnianych tablicach pisanie kredą nie było czynnością prostą, bo kreda się ślizgała i pisała. Dowcipni chłopcy smarowali je delikatnie od czasu do czasu smarem do piast wozów konnych. Z odrabianiem lekcji trzeba było się spieszyć, żeby to zrobić przed zachodem słońca, kiedy było widno, bo wieczorem z lampy naftowej chcieli korzystać inni domownicy.

Wstydlwym i bardzo dokuczliwym problemem w szkole – i nie tylko - były wszy, które rozprzestrzeniały się jak choroba zakaźna. Szkoła była tym miejscem, gdzie łatwo „przesiadały się” one z nosiciela na sąsiadów. Nauczyciele doskonale widzieli, które dziecko drapie się po głowie i dyskretnie zapowiadali, że w określonym dniu będzie przegląd wszystkich głów i należy mieć czyste włosy. (*Mówiono, że wszy były pozostałością po wyzwolicielskiej Armii Czerwonej i że w czasie okupacji niemieckiej tego problemu nie było*). Walka z nimi była trudna, nie dawały się łatwo wytępić, bo „uśmiercenie” żywych nie załatwiało sprawy. Z jaj (*gnid*) pozostałych na włosach rodziło się nowe pokolenie. Mycie włosów, smarowanie naftą dawało tylko krótkotrwały efekt. Dopiero jak pojawił się jakiś

biały proszek (*dostępny w szkole, prawdopodobnie „Azotox” z fabryki „AZOT w Jaworznie*) problem ten przestał istnieć.

Jednym z „odgórnych” dodatkowych zadań szkoły było przyzwyczajanie uczniów do oszczędzania pieniędzy. Każdy uczeń miał książeczkę oszczędnościową, na którą mógł wpłacać groszowe „oszczędności”, w dowolnym czasie. Wpłaty przyjmował i wpisywał do książeczki jeden z nauczycieli, wyznaczony przez kierownika szkoły albo ochotnik, i wypłacał całe saldo na koniec roku szkolnego. Uczniowie rywalizowali między sobą, kto ma więcej oszczędności. Wpłaty w czasie roku szkolnego były możliwe, ale rzadko z nich korzystano. Niestety, w większości przypadków całość lub większość wypłaconych oszczędności konfiskowali rodzice.

Kolejnym „odgórny” zadaniem szkoły było zaznajomienie uczniów ze stonką ziemniaczaną i zwalczaniem tego owada. (*Stonka nie występowała jeszcze w tej części Polski, ale była zapowiadana jako wędrujący ku nam „przerzut” dokonany przez wrogich nam imperialistów amerykańskich*). W tym celu odbywały się pod koniec maja i w czerwcu, głównie w ramach w-f, specjalne lekcje i poszukiwania znaczków z nadrukowaną stonką,



podobnych do znaczków pocztowych, przypiętych szpilką do liści ziemniaków na polach między Żbikami a Wężewem. Nie wiadomo było uczniom gdzie, kto i kiedy je przypinał, ale znaleźli oni sposób na szybkie ich odnajdywanie. Szukali w pierwszej kolejności odcisniętych w ziemi śladów butów osobnika, który to robił. Zlokalizowane miejsce zmiany kierunku śladów niedwuznacznie wskazywało, że w pobliżu musi być znaczek, i był.

Znalezienie wszystkich znaczków – ku uciesze uczniów i nauczyciela - kończyło lekcję. Mniej zadowoleni byli gospodarze, na polach których odbywały się te zajęcia praktyczne, bo poszukiwacze rozdeptywali redliny i liczne krzaki ziemniaków. Szkolenia dotyczące stonki skończyły się po kilku latach, kiedy pojawiła się ona w naturalnej postaci i stanowiła bardzo uciążliwą plagę niszczącą ziemniaki.

Od roku szkolnego 1955/56 szkoła w Żbikach była już 7-klasowa z pięcioma salami. Klasy 1 i 2 oraz 3 i 4 uczyły się razem, po dwie w jednej sali. Liczba dzieci w jednej klasie wahała się koło 10. W każdej sali (klasie), nad tablicą wisało godło państwowe (orzeł bez korony) i portrety prezydenta Bolesława Bieruta i premiera Józefa Cyrankiewicza a nad drzwiami wejściowymi – nielegalnie - krzyż. W pomieszczeniu, gdzie były mapy na podłodze stały portrety Józefa Stalina, Konstantego Rokossowskiego i Karola Świerczewskiego. Pewnie kierownik szkoły nie wiedział co z tymi „prezentami” zrobić.

Podstawówka w Polsce była 7 – klasowa, a nauka w szkole trwała 6 dni w tygodniu (*nie było wolnych sobót!*), podobnie jak praca we wszystkich zakładach i instytucjach

(*obowiązywał 46 godzinny tydzień pracy*). Były tylko dwie przerwy w nauce, jedna w okresie świąt Bożego Narodzenia (około 2 tygodnie) i druga – w okresie Wielkanocy (około 1 tygodnia). Zdarzały się dodatkowe przerwy z powodu silnych mrozów i śnieżyc. Jeśli było bardzo zimno i droga była zasypana śniegiem, dzieci wożono do szkoły saniami (*prawie kulig*). Skala ocen okresowych i bieżących była czterostopniowa: 2, 3, 4 i 5, ale oceny bieżące były jeszcze z jednym minusem lub dwoma oraz z plusem. Były 4 okresy oceniania, po każdym okresie była „wywiadówka” dla rodziców. Powtarzanie klasy z powodu niedostatecznych wyników było w całym okresie nauczania.

Na porządku dziennym było karanie dzieci przez nauczycieli za niewłaściwe zachowanie, za dokuczanie koleżankom lub kolegom, za przezywanie, za nieodrobienie lekcji, za okłamywanie nauczyciela, itd. Skala kar była „urozmaicona”: pociągnięcie za ucho, stanie w kącie, bicie linijką po dłoniach (tzw. łapy), pozostawanie w szkole po lekcjach (*tzw. koza*) i najsurowsza – kartka do rodziców. Kartka sugerowała jednoznacznie rodzicom, że ich pociecha zasłużyła na porządne „lanie” i ten wymiar kary był zwykle wykonywany. Z reguły dzieci kończyły edukację po 7 klasie, a wyjątki były nieliczne. Głównymi powodami zaprzestania dalszego uczenia były: słabe wyniki w nauce, niski poziom nauczania, małe szanse na zdanie egzaminu wstępnego do szkoły średniej, problemy finansowe rodziców, konieczność pomocy rodzicom w gospodarstwie oraz zwykła, najzwyczajniejsza niechęć wynikająca z obawy o rozstanie dzieci z rodzicami, przewidywane trudności w nauce i adaptacji w nowym środowisku.

Oprócz obowiązków szkolnych dzieci miały swoje liczne obowiązki w gospodarstwie, pomagały rodzicom w pracach polowych i domowych, nosiły opał, pasły lub wyprowadzały krowy na pastwisko i przyprowadzały je, karmiły króliki, itp. Żeby uniknąć zatrudnienia dzieci uciekały z domu do koleżanek lub kolegów, którzy też korzystali z obecności gości i mieli czas wolny od pracy.

7. Zabawy dzieci i nastolatków

Dzieciom nie kupowano zabawek, za wyjątkiem tak zwanych odpustowych (*przy okazji odpustu w parafii*), czyli „firmowych” lalek, drewnianych pukawek, motyli, wózków. Nie było prezentów na urodziny i imieniny, bo rodzice dzieciom ich nie urządzali. We wigilię były - tylko dla dzieci - prezenty (*od św. Mikołaja*), głównie w postaci cukierków, skarpet, pończoch lub innych elementów odzieży. Nie pamiętam, czy były prezenty z okazji I Komunii świętej (*prawdopodobnie bywało różnie*), ale lepszy obiad na pewno podawano. Dziewczynkom mamy szyły lub robiły na drutach lalki a dla chłopców ojcowie robili z drewna pukawki (rurki z gałęzi czarnego bzu, z których „strzelało się” korkami z tataraku), wózki, grzechotki. Pomysłowe dzieci wykorzystywały do zabawy różne pudełka, puszki i butelki. Mali chłopcy biegali po drodze popychając patykiem obręczę rowerowe. Starsi chłopcy robili sami proce, łuki i strzały. Strzały miały groty z miedzianych osłonek pocisków karabinowych 7,62 mm (*z tzw. czubków wytapiano lub wydłubywano ołów i wciskano je na proste patyki – strzały, co powodowało stabilność i wydłużenie lotu*). Napinacze (gumy) do proc wykonane były z podkradzionych mamie gumek do majtek lub z pasków wyciętych ze

starych dętek rowerowych, a „nabojami” były głównie małe kamyki. Zawody polegały na tym, czyja strzała lub kamyk polecą najdalej, lub kto najszybciej trafi w wybrany cel. Popularne były hukowe strzelby wykonane z dwóch śrub „zwiniętych” z kuźni, połączonych nakrętką i uwiązanych na drucie, w których materiałem „strzelniczym”, umieszczanym w nakrętce między śrubami, była tzw. „siarka” zeszkrobana z główek zapalek. Latem, dla dzieci w wieku szkolnym ulubionymi miejscami wspólnego spędzania czasu były stawy i ich obrzeża, a dla chłopców również las (*podczas wypasania krów*). Bardziej odważni chłopcy szukali ponemieckiej amunicji i bomb, głównie uszkodzonych, z których łatwo dało się wybrać materiały wybuchowe („proch”) do strzelania i palenia. Jedną z takich zabaw zakończyła się eksplozją „znaleziska” i śmiercią kilku chłopców, w tym co najmniej dwóch (dokładnie nie pamiętam) z Wężewa i jednego z Kozina. Po tym nieszczęśliwym wypadku skończyły się zabawy dzieci w lesie.

(Według opowiadań moich rodziców, w okresie II wojny światowej Niemcy składowali w tym lesie bomby lotnicze oraz amunicję artyleryjską i czołgową, których zapasów nie zdążyli wywieźć przed natarciem Armii Czerwonej w styczniu 1945 roku i wysadzili je w powietrze rozpraszając niewybuchy i odłamki po lesie i okolicy. Siła wybuchów była tak duża, że pękały i wypadały z okien szyby. Mimo wielokrotnych akcji zbierania niewybuchów przez saperów, przez wiele lat po wojnie je znajdowano.)

W zimie, kiedy gruba warstwa lodu pokrywała stawy, starsi chłopcy robili tzw. karuzelę, a młodsi mogli ją tylko z daleka obserwować. To „urządzenie” składało się z grubego pala drewnianego wbitego w dno stawu – na jego środku - i zamrożonego w lodzie, wystającego około metra nad powierzchnię lodu, sanek i długiego łańcucha łączącego wierzchołek pala z sankami. Zasada jego działania była bardzo prosta: kilku chłopców „pchało” blisko pala napięty łańcuch, możliwie jak najszybciej, a na drugim końcu łańcucha po obwodzie śmigwały sanki z pasażerem. Sanki osiągały nie byle jakie prędkości, przy których pasażer – ku uciesze kolegów - krzyczał ze strachu, a czasami konstrukcja sanek nie wytrzymywała siły odśrodkowej i pasażer niezbyt miękko „ładował” daleko na śniegu poza taflą lodu. Na szczęście groźnych wypadków nie było.

Wczesną wiosną, kiedy na wielkim rozlewisku, mającym powierzchnię czasami nawet kilku hektarów, na łąkach pod Żbikami, lód był dostatecznie gruby i niezaśnieżony, dzieci mogły jeździć na sankach, łyżwach (*były takie mocowane „łapkami” do kamaszy*) i ślizgać się na butach. W późniejszym okresie wykopano głęboki rów odwadniający i to naturalne lodowisko już więcej się nie pojawiało.

W niektóre zimowe niedziele dużą atrakcją dla starszych chłopców był udział w nagonce w polowaniach na zające i kuropatwy, na które przyjeżdżali z Warszawy, wojskowymi samochodami, myśliwi – oficerowie *Wojska Polskiego*. Atrakcyjność udziału w nagonce była potęgowana możliwością zarobienia aż 5 złotych (!).

8. Najważniejsze wydarzenia

Wymiana pieniędzy (30.10.1950 r.)

Śmierć Józefa Stalina (05.03.1953 r.)

Śmierć Bolesława Bieruta (12.03.1956 r. w Moskwie)

Wybór Władysława Gomułki na I Sekretarza PZPR (21.10.1956 r.)

9. Nowości

W latach 50. we wsi pojawiły się następujące nowości: głośnik radiowy (kołchoźnik), tornister, długopis, patefon na korbkę (*urządzenie do odtwarzania muzyki z płyt*), domowa wirówka do oddzielania śmietany z mleka, wózek dziecięcy, kino objazdowe, żniwiarka, kosiarka, snopowiązałka, kopaczka do ziemniaków, prąd elektryczny i stopniowo urządzenia zasilane prądem z sieci, a najpóźniej motocykl i sklep.

10. Zagadnienia ekonomiczne i społeczne

Dochody zdecydowanej większości rolników były mniejsze od przeciętnych dochodów Polaków, które według danych [<http://nowa.historia.interia.pl/PRL/news-za-20-dolarow-miesiecznie-jak-zylismy-w-PRL,nId,1065472>] (*polecam tę stronę, bo zawiera sporo ciekawych informacji z tego okresu*) wynosiły np.: 1950 – 551 zł, 1955 – 1008 zł, 1960 – 1560 zł. Ponieważ nie robiłem wtedy zbyt wielu zakupów, niewiele cen pamiętam. Zwykła bułka kosztowała 50 gr a maślana 1 zł, chleb 2 kg – 7 zł, 1 kg mąki lub gwoździ 6,70 zł, 1 kg cukru – 10,50 zł, masło 250 g – 17,50 zł, czekolada 100 g – 19 zł, cytryny – 30 zł/kg, żółty ser – 40 zł/kg. Za butelki można było uzyskać zwrot: za 0,25 l – 20 gr, za 0,5 l – 30 gr a za 1 l – 40 gr.

Proszę mi wierzyć, że przy obowiązujących wówczas, prawie stałych cenach, siła nabywcza towarów i usług za uzyskiwane dochody była bardzo mała.

Rolnicy, nazywani również gospodarzami lub chłopami, i ich żony, chyba przez około 30 lat po II wojnie światowej nie byli uprawnieni do rent i emerytur. Zabezpieczeniem w przypadku utraty zdrowia i na starość mogły być tylko dzieci i/lub oszczędności, lub pieniądze ze sprzedaży gospodarstwa. Najpewniejszym zabezpieczeniem były jednak dzieci, które otrzymywały od rodziców całe lub część gospodarstwa i utrzymywały ich aż do śmierci. Skutkowało to jednak postępującym rozdrabnianiem i osłabianiem gospodarstw.

Wszystkie ceny w tym okresie były urzędowe (*określane lub wymagające akceptacji przez władze*), obowiązywały jednakowe na terenie całego kraju i były rzadko zmieniane. Ludzi nieprzestrzegających cen urzędowych nazywano spekulantami i surowo karano, nawet więzieniem. Ponieważ wzrost produkcji w wielu dziedzinach gospodarki nie nadążał za

wzrostem płac i dochodów oraz potrzebami rozwojowymi sektora państwowego, powstawał niedostatek towarów, który z kolei powodował trudności ich zdobycia, konieczność reglamentowania (*przydzielania określonych ilości tylko na określone cele*) i w końcu konieczność podwyżek cen. Podwyżki cen urzędowych powodowały bunt społeczeństwa, który był tłumiony siłą przez władze, szczególnie w 1956 r. Znaczna część społeczeństwa, szczególnie w miastach, nie akceptowała socjalistycznego ustroju państwa, działalności antyreligijnej i zależności Polski od Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich (ZSRR), co potęgowało nasilenie i masowość buntów.

Mieszkańcy wsi odróżniali się wyraźnie od mieszkańców miast głównie ubiorem i mową i mieli gorsze warunki mieszkaniowe. Z tego powodu „wsiowi” czuli się gorszą kategorią społeczeństwa i zazdrościli „miastowym” lepszych warunków pracy i życia. „Miastowi” natomiast czuli się lepszą kategorią społeczeństwa, ale zazdrościli „wsiowym” dużej niezależności, darmowego mieszkania oraz darmowej - w większości - i świeżej żywności. Stopniowo nasilała się jednak migracja ludzi ze wsi do miast a nie odwrotnie.

Aktualnie różnice warunków życia w mieście i na wsi zanikają. Coraz częściej nowe domy na wsi mają zdecydowanie lepszy standard i wyposażenie od mieszkań w blokowiskach miejskich. Praca na wsi stała się o wiele lżejsza i bardziej wydajna. Wiele osób z miasta marzy o tym, żeby zamieszkać na wsi, a wiele się chwali, że już mieszka. Kierunek migracji ludzi zaczyna się odwracać.

Powyższy tekst może stanowić dla Czytelnika bazę do własnej oceny wielkości i jakości przemian, jakie nastąpiły w Polsce, szczególnie w środowisku wiejskim, w okresie II połowy XX wieku. Może być on również wykorzystany do porównania własnych, aktualnych warunków życia Czytelnika z tymi, jakie były na wsi mazowieckiej w latach 50. ubiegłego wieku.

Moim zdaniem II połowa XX wieku była najbardziej intensywnym i bardzo korzystnym okresem przemian w dziejach Polski, pomimo uwarunkowań zewnętrznych, błędów politycznych i gospodarczych oraz wynikających z nich następstw.

Według mojej oceny do przemian na wsi przyczyniły się głównie następujące czynniki: elektryfikacja kraju, bezpłatna i powszechna edukacja, mechanizacja rolnictwa, zniesienie obowiązkowych dostaw, nowe odmiany roślin, nowe rasy zwierząt, nawozy i środki ochrony roślin, objęcie rolników systemem emerytalno-rentowym, uwolnienie i urealnienie cen produktów rolnych oraz pracowitość, gospodarność i wytrwałość rolników.

Dziękuję bardzo Naczelnikowi Ochotniczej Straży Pożarnej w Węzewie – Panu Krzysztofowi Wyszowskiemu za propozycję zamieszczenia i zamieszczenie tego tekstu na stronie internetowej tej Straży oraz całą mailową korespondencję w tej sprawie.

Dziękuję wszystkim Czytelnikom za zainteresowanie tekstem i skorzystanie z informacji w nim zawartych.

Z góry przepraszam za ewentualne nieświadomie popełnione błędy merytoryczne i niedostrzeżone błędy językowe.

Z uszanowaniem,

autor



Koniec